

Relacja Zbigniewa Dziakońskiego z XI 1989 r.

Trzeba powiedzieć, jak rozpoczął się dla mnie 1939 r. Mianowicie 29 sierpnia wróciłem z miesięcznego obozu harcerskiego z Rumunii. Przejeżdżałem przez Lwów i 30 sierpnia miałem służbę przy pociągu harcerskim. Całe życie żałowałem, że nie mogłem zobaczyć Cmentarza Orląt i Lwowa. Trzydziestego, gdy przybyłem do domu - czekało na mnie powołanie do wojska. Akurat wtedy skończyłem maturę. Ojciec mi powiedział, abym poczekał do jutra, wymyśl się i odpocząj i dopiero poszedł zameldować się tam, gdzie trzeba. Rano obudził mnie ojciec mówiąc, że jest wojna. Było to w Próżanie, na terenach polskich wschodnich wówczas, dziesiątą pod okupacją, czy powiedzmy sobie, sowieckim rządem i zarządem. W każdym bądź razie 1939 rok, okres wojenny rozpocząłem tym, że się zgłosiłem do wojskowej komendy meldunkowej. Przekazali mnie razem z wieloma takimi nowo powołanymi do wojska ochotnikami, czy rekrutami, do służby przy starostwie. Tam chodziło o rzeczy administracyjne bardziej, niżeli jakieś wojskowe, ale to się szybko bardzo skończyło. Musieliśmy wycofać się jeszcze dalej na wschód w kierunku granicy bolszewickiej. Usiłowaliśmy dostać się na Kanał Ogińskiego przez Puszczyce Różańską. Nocą spotkaliśmy tam gen. Rybaka, b. dowódcę 6 Armii, która uderzała znaną Wierpza w 1920 roku. Powiadomił on nas, że wchodzi bolszewicy. To było już 18 IX. W nocy z 18 na 19 IX trafiliśmy na konwój wozów m.in. płk. Antoniego Kamińskiego i jego brata Karola Kamińskiego całego oddziału nadleśniczych z Puszczy Białowieskiej, którzy z powodu wkroczenia Sowietów wracali z powrotem do Puszczy Białowieskiej, gdzie mieli stanowiska i pracę. Było takie założenie, że tam mieliśmy się "zamełnować".

Na drodze z Różana do Prużan trafiliśmy na karabiny maszynowe cywilnej ludności białoruskiej, która nas zatrzymała. Działali oni na rzecz armii sowieckiej. Z jednej strony mieliśmy jednocześnie atak sowieckiej piechoty, który odparliśmy bardzo efektywnie. Można tak powiedzieć, bo byli wszyscy prawie akademicy, względnie ludzie po maturze (a więc bez doświadczenia wojskowego). Właściwie oddział ten był pod moim dowództwem, z tego tylko tytułu, że byłem tam najstarszym harcerzem i ja ten oddział zorganizowałem. Byli to więc sami poborowi, młodzież z gimnazjum w Prużanie.

Stoczyliśmy więc z nimi walkę, odparliśmy, ale trafiliśmy na karabiny maszynowe cywili - Białorusów. Wówczas pęk, Kamiński, którego spotkaliśmy wcześniej na drodze między Kosowem a Różanem i razem jechaliśmy dalej zaproponował, ażebyśmy się poddali. Poddaliśmy się więc tej ludności cywilnej białoruskiej. Wsadzili nas oni do składu soli pod aptekę w Różanie Grodzieńskiej.

Następnego, lub jeszcze drugiego dnia, a więc 20 lub 21 IX był wiec na placu przed tym składem soli. Wożali oni wówczas "Łackaja puła ubiża naszych towarzyszej" - ktoś tam zginął, bo myśmy wcześniej mieli przecież z nimi jakieś pierepażki. Ten cały tłum został tak napuszczony, żeby rozbić drzwi do tego składu soli i wymordować tych tam wziętych do niewoli ludzi z naszego oddziału. Szczęśliwie trafił się tam komendant milicji zorganizowanej już przez komunistów, Białorusin, który tam właśnie prowadził i powiedział - po co wy macie wywalać te drzwi, ja wam otworzę, ja mam klucze. I ten milicjant przeprowadził swój oddział przez drzwi tego składu soli, kazał zarepetować broń i powiedział: "dopóki my tu stoimy nikt nie ma prawa wejść do tego składu soli".

I nie dopuścił do samosądu. Nazywał się on Szyszko, imienia nie pamiętam. W każdym bądź razie on uchronił nas od zlincozwania.

Po kilku dniach przyszły oddziały NKWD, które nas obrabowały ze wszystkiego - zabrali nam przede wszystkim zegarki, a mnie przede wszystkim mój krzyż harcerski, który miałem ze złożonym wianuszkami i lilijką. To bardzo się im podobało. Za następnych kilka dni przewieźli nas do Słonimia. Ilu nas było dokładnie wówczas - nie mogę sobie przypomnieć, w każdym razie do Słonimia przewieziono nas kilkudziesięciu, ponad trzydziestu. W tej grupie był również płk. Kamiński i jego brat Karol.

Jeżeli chodzi o płk. Kamińskiego - był on kolegą i szkolnym i rodzinnym gen. Sikorskiego. Razem chodzili do gimnazjum w Brzeżanach.

Jeszcze jak byliśmy w tym składzie soli - z jednym kolegą, wyrwaliśmy kraty i chcieliśmy uciekać. Jak zobaczył to ten pułkownik, (bardzo rozsądny człowiek i honorowy) powiedział, że w tym wypadku byłoby niedobrze, gdybyśmy my wszyscy młodzi uciekli, a oni by zostali. Wtedy na pewno nastąpiłby jakiś odwet czy samosąd i pozostali znaleźli by się w bardzo złej sytuacji. Przedstawił nam warunki oddziałów angielskich w Indiach czy Afryce, gdzie mieli różne przeżycia z tubylcami, ale spośród Anglików nigdy jeden drugiego nie zdradził. Gdy poruszyły nasze ambicje narodowe, wstawiliśmy z powrotem te kraty i nie opuściliśmy tej piwnicy.

Z Różany przewieźli nas do do więzienia, tzw. „Białego” w Słonimiu, bo znajdowało się tam jeszcze jedno więzienie, „Czerwone”. Budowa całej sieci tych więzień na wschodnich ziemiach polskich związana była z wczesniejszą pacyfikacją przez Rosjan tych wówczas zachodnich ziem w imperium carskim. Stąd wywozili

kibitkami więźniów na Sybir.

Długo trwały przygotowania do zarejestrowania nas, do wciągnięcia, do samooskarżania się. Całe nasze przestępstwo polegało bowiem na tym, że w czasie badań wszyscy zostali doprowadzeni do samooskarżania się. My nie znaleźliśmy systemu sowieckiego, nie wiedzieliśmy, czego oni szukają. Oni zaś kazali nam przyznać się do wszystkiego, co my robimy, co robiliśmy poprzednio, a więc np. że ja należałem do Ligi Ochrony Przeciwlotniczej, do harcerstwa, do Czerwonego Krzyża i podobne rzeczy. Wszystko to zostało potraktowane jako wystąpienie wrogie wobec Sowietów, mimo, że byliśmy przecież obywatelami kraju wolnego, niezależnego.

Warunki w więzieniu - przede wszystkim trzeba powiedzieć, że wszystko zostało przejęte przez Sowietów tak, jak to było w więzieniu polskim, poczynając od rącznika, przez mydło, koszulę i koc - wszystko nam zostało wydane z depozytu poprzedniego polskiego. Potem to się skończyło, wyginęło, wytarło, ludzie rozkradli, Azbrali ze sobą w czasie wyjazdu do Sowietów. Na początku jednak magazyny były jeszcze obficie zaopatrzone i każdy dostał tę swoją bieliznę osobistą, ubranie, koc. Oczywiście było wielkie zdziwienie, gdy powiedzieliśmy, że nie wiemy, co to jest "baniś" i "odwszarzanie". Oni powiedzieli "no cóż, to jest niekulturny naród, kraj, jeżeli wy odwieszalni nie macie". Gdy powiedzieliśmy, że nie mamy papieru w ustępek, to nie się nie działo, ale jak powiedzieliśmy, że to "niekulturnie" nie mieć papieru, to oni nam dali kartki powyrywane z książek, żeby było "kulturnie" właśnie.

Liczba osób w celi zależała od tego, jaka cela i w jakim okresie. Były bowiem okresy, gdy aresztowania nasilały się, aż były cele zapchane. Wtedy wywozili do Rosji, a gdy cele opróżni-

ty się - zapełniali je nowymi aresztowaniami.

A więc w celi takiej, gdzie normalnie przabywało 12 osób za czasów polskich - było 60 do 80 osób z tym, że leżeliśmy na ziemi pod pryczami i na pryczach, a więc w dwóch warstwach. Zmiana w czasie leżenia, przewracanie się na drugi bok odbywała się na komendę. Ostatni leżący musiał się bokiem wklinować między kolegów a pryczę.

Sienniki w krótkim czasie zamieniły się w worki z sieczką, bo sżoma w nich została zupełnie starta przez to, że bez przerwy na jednym sienniku leżały trzy osoby, jeżeli nie więcej, bo wszyscy byli upchani bardziej jak przedmioty, a nie ludzie.

Badania odbywały się w ten sposób, że co jakiś czas wzywali nas nocą do zeznań. Czy bili - ja osobiście dostałem skromnie, niewiele, dlatego, że ja do wszystkiego się przyznałem, że byłem w LOPP. Coż więc więcej mogli ode mnie, jako młodego człowieka, wymagać. Natomiast w celi, w której byłem, był taki pan Miśko, który był 19 lat na Św. Krzyżu, aresztowany przez władze polskie za komunizm. Był to "zakuty" komunista. Tam zrobił szkołę powszechną, gimnazjum, uzyskał w więzieniu na Św. Krzyżu właśnie maturę, i chwalił się tym, że tam władza polska pozwoliła mu to zrobić. Siedział również ze mną Tataruk, który też był komunistą i za polskich czasów siedział dwa razy w Berezie Kartuskiej, siedział na Św. Krzyżu również. Opowiadali oni, jaka to była tam między więźniami dyscyplina, jaka to była po prostu akademii komunistyczna właściwie dla tych więźniów. Przymus wewnętrzny więźniów do nauki był bardzo ostry. Każdy musiał dawać sprawozdanie z tego ile on osiągnął, ile umie, ile on potrafi. To były wymagania władz wewnętrznych w celach - byli to prawie wszystko komuniści. Tak więc była to akademii komunistyczna. Trzeci był w tej celi Szklarek. Tak więc ci

trzej byli komunistami i siedzieli już w więzieniach za polskie czasów. przez wiele lat.

Najbardziej przerażała nas sytuacja Szklarka, dlatego, że był on bity co miesiąc, regularnie. Wrzucali go po każdym badaniu do celi zbitego do nieprzytomności. Mamy go leczyli, koledzy współwięźniowie. Gdy on wyzdrowiał i mógł chodzić - znowu brali go na badania i znów go "oprawiali" strasznie. Miśki nie bili, ale Tataruka bili. Tataruk był stoosunkowo prymitywnym człowiekiem, ale komunistycznie bardzo patriotycznie nastawionym. Miśko był bardzo inteligentnym chłopakiem, po tych szkołach na Św. Krzyżu. Natomiast Szklarek, czy Szklaruk, nie pamiętam dokładnie, był czynnym na jakichś funkcjach komunistycznych na terenie Białorusi. za czasów polskich. Oni uważali tych czynnych za czasów polskich komunistów za strasznych wrogów komunizmu, za zdrajców. Zaaresztowali ich po kilku miesiącach od wejścia, koło Bożego Narodzenia, względnie na początku 1940 roku.

Częste było przerzucanie z celi do celi, rewizja osobista bezwzględna. Znalazły się oczywiście sposoby, aby ich oszukiwać. Mielśmy przy sobie cały czas pieniądze, obrazki Matki Boskiej, co było absolutną zbrodnią więc to, ja miałem np. szkło powiększające, które jakoś do mnie dotarło. W więzieniu miałem różne zadrażnienia z byłymi komunistami z ziem polskich, którzy starali się w jakiś sposób wyżyć na nas, tych przestępcach burżuazyjnych. Chcieli się odbić na nas za to, że za czasów polskich byli tacy biedni. Oprócz tych trzech, którzy z nami siedzieli, byli bowiem też inni komuniści. Tylko ci trzej bowiem, o których mówiłem rozumieli sytuację, na czym polegało to nieporozumienie, które chcieli nam wytłumaczyć, że cierpieli za Polaków i cierpią też teraz.

Tataruk, jak mówiłem, bardzo prymitywny w swoim intelekcie, ale rozsądny z natury potrafił po pewnym czasie dawać nam odpowiedzi na stawiane polityczne pytania, których ton był skierowany przeciwko sowietom. Były takie sytuacje, że przynoszono paczki żywnościowe, tzw. podajanki i Tataruk dostał któregoś razu taką paczkę i mówi: "co to jest - dostałem chleb, dostałem butelkę mleka, a dostałem tylko szmatkę od masła. Zwróciłem się do władzy więziennej, żeby dali mi do tej szmatki do właśnie masła. Mówił, że "jest to nieprawdopodobne, aby żona moja nie dała mi tłuszczu, ja tyle lat siedziałem w więzieniu polskim i żona wiedziała, co należy mi przysyłać, miała doświadczenie, więc na pewno dała masło, na pewno dała jakieś tłuszcz, względnie jeszcze smalec z cebulą". A cebula była bardzo ważnym czynnikiem przeciwko skorbutowi. To, że po dwóch latach pobytu w więzieniu zęby chodziły mi we wszystkie strony, było zupełnie zrozumiałe.

Strażnik na zażalenie Tataruka powiedział, że należy się zwrócić do naczelnika, wziąć tę szmatkę i sprawa została zamknięta. Drugi przyszedł, powiedział, że "my żadnej szmatki nie mamy, nic nie wiemy o co chodzi" i on nie miał się do kogo zwracać, nie było żadnych dowodów.

Paczki można było otrzymywać różnie w różnych okresach roku. Raz można było przynosić co miesiąc, drugi raz co dwa tygodnie. Przeważnie można było co miesiąc przynosić pół kilo masła, 2-3 kg chleba w takim wielkim bochenku, trochę tłuszczu, trochę cukru, trochę drobnych jakichś rzeczy jak pomidory, jabłka, czoenku nie widziałem, ale cebulę. Najlepsze "podajanki" dostawali zawsze aresztowani i siedzący wraz z nami Sydzy, którzy mieli jakieś dojścia do władz partyjnych czy więziennych i ich paczki w całości przychodziły do adresatów.

Jeżeli dostali paczkę Polacy - dzielili się nią między Polakami. Jak dostawali komuniści - nigdy nie było mowy, aby coś dostał ktoś z Polaków. A oni dostawali o wiele więcej. Dzielili się jednak między sobą. Niektórzy Żydzi, niektórzy, podkreślam, dzielili się tymi paczkami, natomiast w większości zachowywali dla siebie, chyba, że byli w jakiś sposób zbliżeni do siebie.

Koniec mojego pobytu w więzieniu nastąpił w czerwcu 1941 r. Zaskoczyło nas to, że zostały po raz pierwszy w więzieniu wyłączone światła - zarówno w celach, jak wokół więzienia. Przedtem wszystko było bardzo ostro oświetlone. Na trzeci dzień wieczorem, był to trzeci dzień wojny, zostaliśmy imiennie wywożeni z różnych cel. Staliśmy w korytarzu przed biurem więziennym, gdzie jeszcze raz sprawdzano personalia. Odczytano wyrok: "po ukazu Sowieckiego Sojuza, po statii takiej to takiej... - na rozstrzel", na rozstrzelanie. Nie zrobiło to na nas, w każdym razie na mnie osobiście nie zrobiło żadnego specjalnego wrażenia. Byliśmy zupełnie otępieli, niewrażliwi na nic, tacy jacyś zupełnie myślowo mało działający, opóźnieni jakoś w sobie myślenie. Potem wychodziliśmy na dwór, stawaliśmy pod murem naprzeciwko wejścia. Pierwszy był pułkownik, drugi byłem ja, trzeci był Karol Kamiński, potem był kpt. nadlesniczy Urban z Białowieży - razem 32 osoby. Przypuszczam, że innym, tak jak i mnie, odczytano wyrok śmierci. Po kolei przychodzili pod ścianę, pod mur więzienny. Potem przyszedł eszelon do rozstrzelania nas. Do tego momentu nie mieliśmy nic ogłoszonego, żadnego wyroku. Było to przygotowanie do normalnej likwidacji, tak, jak to zostało wykonane w Katyniu.

Tak więc przyszedł ten eszelon egzekucyjny, zaczęto tam żądać broni i w tym czasie rozpoczęła się bitwa powietrzna,

lotnicza nad nami. W krótkim czasie, trwało to niewiele, Niemcy przepędzili sowieckie Jaki, zobaczyli ten ruch na dziedzińcu więziennym. Nie wiedząc o co chodzi - zaczęli nas ostrzeliwać. My zaś stojąc w szeregach - zaczęliśmy bić brawo, jak oni przepędzili tych sowietów. Samoloty zniżyły się jeden za drugim i zaczęły do nas strzelać. Nie trafiły jednak, ale widzieliśmy wyraźnie, jak te serie maszerowały po dachu. Za którymś tam samolotem - rzucali bomby. Rzucili bombę w nas - upadła ona od pułkownika o jakieś 3, może 4 m, ale już bezpośrednio za murem. Rozwaliła ten mur - zrobiło się bardzo czerwono, różowo od tej cegły. Żołnierze sowieccy uciekli do rowów przeciwlotniczych, które były wykopane na podwórku, a pułkownik, jako stary peowiak, pracujący jeszcze w oddziałach polskich walczących we Włoszech, w Tyrolu, kiedy jeździł po całym świecie dla konspiracji, dla PCW - zorientował się bardzo szybko o co chodzi. Nic nie mówiąc skręcił w prawo, będąc w tych kaloszonach, koszulce i pantoflach bez sznurowadeł, wlaź ~~niżej~~ na tę rozrzuconą cegły muru, następnie Karol i wszyscy tak weszliśmy przez mur, wzdłuż muru z drugiej strony, koło tych postenketów z drugiej strony. Nikt nas nie pytał, nic nie mówił. Poszliśmy na drugą stronę drogi, przez most, wreszcie przez Szczarę. W międzyczasie zrobiło się ciemno, ale to absolutnie strasznie ciemno. Przychodzimy na ten most, nic nie widać, ale z drugiej strony słyszemy, jak ktoś do nas woła: "stoj, kto idiot?" My natomiast idąc przez ten most wcale nie krąpowaliśmy się i tupaliśmy tymi drewniakami, jakim kto miał obuwie. Zaczęliśmy wracać. Zbiegliśmy z tego mostu z drugiej strony nad Szczarę, wzdłuż Szczary, chyba to było pod prąd rzeki pomaszerowaliśmy do jakiegoś domku, przy którym był ganek. Powiedzieliśmy sobie, że pewno to będą jacyś ciekawsi ludzie, jeżeli mają taki domek. Weszliśmy tam i

stwierdziliśmy, że to są Żydzi. Powiedzieliśmy, że uciekliśmy z więzienia. Wtedy ta Żydowka powiedziała "my was schowamy, będziemy was bronić, ale jak przyjdą Niemcy, to wy nas będziecie bronić". Oczywiście zgodziliśmy się na to. Akurat w tym czasie była pierwsza fala bombowców, bardzo trzęsąca całą ziemią i otoczeniem, aż wewnątrz drżały. Pułkownik został w tym mieszkaniu, ale my pozostali rozprzestrzeniliśmy się po całej okolicy, żeby o nas nikt dużo nie wiedział, ani nas widział.

Ja z dwoma kolegami schowałem się w stóg siana. Jednym był Julek Szulczewski, a drugim był Gożubiew, który do naszej grupy spod Różana nie należał. Był to Białorusin, którego dołączono do naszej grupy na rozstrzelanie. Dostał się on do więzienia za to, że powiesił obraz Stalina w ustąpie. Został za to skazany na śmierć. Rano nie mogliśmy jednak wytrzymać w tym stogu siana, było bardzo zimno, bo to nad rzeką, a mimo, że był to czerwiec, my byliśmy osłabieni, napuchnięci z braku pożywienia i zmęczeni świeżym powietrzem. Nie mogliśmy spać rano, więc zaproponowałem Julkowi, abyśmy poszli zobaczyć, jak wygląda więzienie. We trójkę, wraz z Gożubiewem poszliśmy ukradkiem, patrząc, czy są strażnicy na wieżach. Strażników nie było, więc my chyżkiem, chyżkiem aż pod bramę. Brama była przewalona. Nie otwarta, ale przewalona. Dlaczego, nie wiem. Weszliśmy i ja od razu pobiegłem do kancelarii, zacząłem szukać po wszystkich szafkach i biurkach naszych akt personalnych. Znalazłem kilka, ale wszystkich innych, tylko nie tych, którzy mieli być rozstrzelani. Gożubiew natomiast wziął ze ściany szablę i zaczął rąbać obrazy Stalina, Berii, Woroszyłowa, nie wiem, kto tam był jeszcze "powieszony". Ja poszedłem zaś na górę zobaczyć, czy przypadkiem nie ma jeszcze kogoś w więzieniu

Okazało się, że całe I piętro nie wiedziało, co się dzieje i nikt nie wyszedł z więzienia. Wszystkie cele były jeszcze pełne. Nikogo z obsady więziennej nie było. Zaczęłem słuchać, słyszę, że tam szum jest. Zaglądam, ruszają się tam ludzie, więc ja mówię, a jeszcze niekiedy było pełnego światła porannego. Więc ja mówię do Julka, aby przyniósł z dołu klucze. On w międzyczasie wszystkie te klucze wyjął z szafki nie wiadomo dlaczego i rzucił na ziemię. Teraz trzeba było te klucze dobierać do numerów cel, aby trafić. Otworzyliśmy celę 4, 3, 2, i 1, a 5 celę, która była pośrodku dwóch podwójnych cel, była mała i nie wiem dlaczego miała numer 10. Więźniowie tam byli zupełnie odcięci od świata, zrozumienia sytuacji, co się odbywało. Wiedzieli tylko, że były hałasy wieczorem, że są hałasy teraz, wobec czego zabarykadowali się. Usiłowaliśmy się do nich dozwonić. Wołałem kolegę Aleksa, który tam był, ale nikt nie dawał żadnej odpowiedzi. Wzięliśmy więc kozioł od prycz i wybiliśmy nim drzwi. Oni te drzwi od wewnątrz zabarykadowali. Napchali na to sienniki, kozły i tak dalej. Weszliśmy, a oni chcieli się bronić nogami powyrywanych z prycz. Gdy zobaczyli, że to ja jestem z Julkiem - zaczęli nas śmieszyć. Ich i kolegów, którzy byli w innych celach posłałem do pułkownika. Nie wszyscy bowiem z tej grupy, w której byliśmy pod Rozaną byli do rozstrzelania. Oni poszli, a my jeszcze z Julkiem i Gołubiewem poszliśmy oglądać następną część więzienia, następną część tego więzienia, gdzie były części gospodarcze i większość aresztowanych. Okazało się, że tam wszystkie cele są już opróżnione, wszyscy wyszli, powybijane drzwi. Ale ja jeszcze tak dla pewności zwołałem, czy ktoś tutaj jeszcze jest. I wtedy odezwały się głosy kobiece. Polecieliśmy w tamtą stronę. Okazało się, że są jeszcze dwie osoby, jakieś ^w ostatniej celi

i nie mogą się stamtąd wydostać. My we trzech zaczęliśmy znowu wybijać te drzwi kozłami od przycz. Wybiliśmy, a tam - okropna sytuacja. Wszystko zamazane sadzą. Pierwsza wychodzi do nas bardzo chuda Żydówka i niesie torbkę mniej więcej 1 kg cukru i mówi - to dla was, za to, żeście mnie oswobodzili. Oczywiście myśmy to odsunęli, bo nie o to w tym tempie chodziło. Druga była chyba Ukrainka albo Białorusinka, w zaawansowanej ciąży, nie bardzo się mogła już ruszać z tych nerwów. Jednak ona miała najwięcej z tych kobiet siły i ona to rozbierała piec, który był wspólnym piecem dla dwóch cel. Gdyby go rozebrała całkiem, znalazłaby się w drugiej celi, która była otwarta. Stąd te sadze których była w całym pomieszczeniu taka potworna ilość.

Wrociliśmy z powrotem do bramy, przebiegliśmy na drugą stronę, aby nie być w tym obiekcie i itak już bardzo podejrzany. Schowaliśmy się za węgiel domu, bo przejeżdżała kawaleria sowiecka uciekająca z frontu. Ktoś z okna wyglądał zza firanki domu, za węglem którego byliśmy. Myśmy podeszli do tego okna, ja zapukałem. Jakaś pani otworzyła to okno po pewnej chwili i zapytała, cośmy za jedni. Myśmy odpowiedzieli, że jesteśmy stąd, pokazując na okna więzienia. Wtedy ona powiedziała, żebyśmy weszli do środka. Weszliśmy - były tam bardzo sympatyczne dwie osoby, mąż i żona. On był pracownikiem urzędu skarbowego w Polsce. W całym pomieszczeniu istniał tylko jeden tapczan, prowizorycznie zbity z desek i nakryty perskim dywanem. Nic więcej w domu nie było, wszystko zostało już wyprzedane na utrzymanie. Byli przygotowani na to, że w każdej chwili będą musieli opuścić swoje mieszkanie. Najważniejszym dla nas było w tej chwili - umyć się i ogolić. On nam dał żyletki i mydło, umyliśmy się i ogoliliśmy. W międzyczasie, gdy my już prawie dokonaliśmy tej toalety, przyleciał do nas jeden od tych

ludzi, którzy zostali nad Szczarą. Ja mu powiedziałem, aby przyprowadził tutaj całą grupę od tych ludzi nad rzeką, bo nie wiadomo, co z tego może wyjść. Oni przyszli, a ja w międzyczasie z Julkiem Szulczewskim i Gożubiewem poszliśmy i zaczęliśmy szabrować mąkę i cukier, które były w składach dla całej naszej grupy, bo trzeba będzie jakoś żyć z tego. Ponieważ w mieszkaniu u tych państwa nie było nic, ani stołu ani krzeseł, więc sypaliśmy tę mąkę na jedną kupę a cukier na drugą kupę, po prostu na podłogę i lataliśmy z powrotem do więzienia. Nosiliśmy to wszystko w poszewkach od poduszek, które tam znaleźliśmy w magazynie. Nabraliśmy tego z 50 albo 80 kg cukru, bo to była taka z 60-70 centymetrów wysoka kupka tego cukru. Takiej samej wielkości była kupa tej mąki.

No więc wtedy oni wszyscy przyszli i zastanawialiśmy się, co mamy robić. Wszyscy zrobili też toaletę, "popełnili" to golenie. Brat pułkownika, Karol Kamiński mówi - ja mam tutaj jakąś tam ze strony mojej żony rodzinę. No i podaj adres i w tą stronę maszerujemy. Zanim wyruszyliśmy, pułkownik zaproponował, aby się pomodlić. Poszliśmy więc do kościoła, była jakaś boczna uliczka, biały mur i z prętów zrobione wrota, zamknięte łańcuchem z kłódką potężną. Cały kościół zamknięty również kłódkami. Pułkownik powiedział - nie będziemy tego rozbijać. Klękaliśmy więc na chodniku na ulicy. On odprawiał takie modlitwy, myśmy mu odpowiadali. Większość z nas znała na pamięć wiele litanii z więzienia, bo to był taki sposób zabijania czasu, uczenia się rozmaitych litanii, względnie wierszy, jeżeli ktoś umiał na pamięć, opowiadania i tak dalej. Więc prawie wszyscy umieli litanie loretańską na pamięć. On więc mówił, a myśmy odpowiadali. Jak skończyliśmy te modlitwy - idziemy z powrotem do tych państwa. Zbliżyliśmy się do rynku, patrzymy - stoją na rynku czarne, błyszczące ozdoby okryte czerwonymi płachtami.

A więc katastrofa dla nas. Co to będzie jak przyjdą tu znowu bolszewicy. Ale nie tracimy panowania nad sobą, idziemy spokojnie dalej. Okazuje się, że na środku tej czerwonej płachty u góry jest białe koło. Gdy zbliżyliśmy się jeszcze bardziej zobaczyliśmy, że tam jest czarna swastyka. To było dla nas już pewne szczęście, że to nie sowieci.

Gdy podeszliśmy bliżej, żołnierze niemieccy powychodzili z czołgów, palili papierosy, popijali wodę. Wzdłuż tych czołgów biegli, maszerowali ludzie z plecakami. W większości Żydzi w myckach z brodami. Jeden z tych żołnierzy dał mi pistolet parabelkę i mówi - masz, zabij go, to jest Żyd. Ja wtedy zdałem że nie rozumiem, co to jest pistolet, nie znam się na tym i nie chcę brać tego do ręki. Bo a nóż ja strzelę a ktoś mnie też zastrzeli, choćby tylko. Ale co to było za idea zabijać człowieka. Wtedy to jeszcze nie było takiego rozbestwienia, strzelać do kogoś bezpośrednio. Więc ja oddałem mu z powrotem ten pistolet, a w tym czasie przyszedł jakiś telefon do czołgistów. Oni wszyscy wsiedli w czołgi i pojechali w kierunku więzienia. W więzieniu wyładowali swoje jakieś tam przedmioty, stworzyli obronne ogniska, a myśmy pomaszerowali z powrotem po cukier i mąkę. Załadowaliśmy to w poszewki i do rodziny tego Karola.

Przechodząc przez rynek zauważyliśmy, że pędzi samochód ciężarowy sowiecki z sowieckimi żołnierzami. Przecież w tym miejscu 10 czy 15 minut temu stały czołgi niemieckie ! Zarówno pułkownik jak i jego brat powiedzieli - uciekajmy stąd, bo to będzie miejscem strzelaniny, bitwy, bo tu na pewno nastawieni są niemieccy strzelcy, by to zlikwidować. Mamy stąd uciekli. Przeszliśmy do tej rodziny. Po jakimś czasie ja zaproponowałem: pójdziemy z powrotem, zabierzemy resztę, bo nie starczyło nam

tyło worków, tych poszewek, żeby zabrać tę mąkę i cukier. Maszerujemy więc tam szparkim krokiem, ale nie biegniemy. Dochodzimy do rynku i widzimy, że ten samochód z sowietami jest trafiony "volltreffen", absolutnie, pociskiem artyleryjskim. Wszystkie ciała krwawiące jeszcze, ciepłe. Myśmy się wycofali, aby nie wejść w orbitę ich działań. Wróciliśmy tam i ja mówię do kolegów - na przeciwko mamy rzeźnię, poszukamy mięsa, bo tyle osób, 32 osoby, jak o trzeba wyżywić. Bo w tych warunkach jeżeli nie zdobędziemy czegoś to za dwa dni jesteśmy wykończeni absolutnie. No więc trzeba się zorganizować.

Poszliśmy, znaleźliśmy w piwnicy zapakowane mięso. Wytaszczyliśmy te beczki stamtąd, przenieśliśmy dwie właśnie tam do tej rodziny. W tym czasie wpadli Niemcy do nas, chcąc nas rozstrzelać. Rozstrzelać dlatego, że Niemieccy żołnierze zostali gdzieś pokaleczeni, ostrzelani. Dobrze, że z nami byli ludzie, którzy umieli dobrze mówić po niemiecku. Przede wszystkim pułkownik Kamiński i jego brat Karol, który był w austriackim wojsku. Zaczęli oni opowiadać, że jesteśmy z tego więzienia. Niemcy zaczęli pytać dlaczego mamy głowy ogolone, dlaczego mamy fufajki sowieckie? Ano, takie były warunki. Od razu pułkownik prosił dowódcę tego batalionu człow, aby nam wystawił glejty. Prosił o to, aby indywidualnie dla każdego, imiennie. I tak zostało zrobione, to się potem nam bardzo przydało.

Niemcy zakazali nam wychodzić z domu. Jak tylko weszliśmy znowu do domu po tych wszystkich perypetiach, przepustkach, glejtach - rozpoczęła się znowu strzelanina. My wszyscy więc brzuchami do ziemi, czekamy, co się dzieje. Po jakimś czasie, po paru chwilach strzelaniny biegnie wojsko niemieckie przez nasze podworkow^o pole. Usłyszeliśmy tam kilka serii bardzo długich i wszystko się zakończyło. Przyszli Niemcy - pytamy, co

się stało. Oni powiadają, że zabili właśnie tych, którzy strzelali - sowietów. Ukryli się oni w rowie pod przewróconym protem, który ten row zakrywał. Oni stamtąd strzelali do Niemców. Kazali nam wziąć z ich czołgów łopaty i zakopać tych ludzi, zabierając oczywiście tabliczki identyfikacyjne.

Ledwośmy się znowu schowali po grzebaniu tych ludzi, patrzymy - lecą przez nasze podworko żołnierze sowieccy. Więc już siedzieliśmy jak myszy, leżeliśmy brzuchem na ziemi. Rozpoczęła się strzelanina i ruchy czołgów niemieckich. Za chwilę ucieka z powrotem ta tyralierka sowiecka w pole. Zostało bardzo dużo zabitych sowietów. Przyjeźli Niemcy i kazali nam znowu wziąć łopaty i pochować tych zabitych, zabierając jednocześnie tabliczki personalne poległych żołnierzy sowieckich. Połówki się zabierało. Ja trafiłem na takiego jednego żołnierza który leżał twarzą do ziemi, a dostał serię z karabinu maszynowego w plecy, od ramienia do ramienia. Odwróciłem go na drugą stronę, wyjąłem mu z lewej kieszeni jego papiery osobiste. Gdy otworzyłem jego książeczkę wojskową stwierdziłem, że data urodzenia jest taka sama, jak moja. To było dla mnie trochę szokujące. Zakopaliśmy tych wszystkich sowietów, daliśmy im krzyże, mimo wszystko. Na te krzyże wsadziliśmy ich hełmy.

Przetrwaliśmy tam kilka dni, aż cała akcja poszła dalej na wschód. Wówczas zwróciliśmy się do Stadtkommando, do jakiegoś kapitana dowódcy miasta, żeby nam dali furmanki do przewiezienia naszych rzeczy ze Słonima do Kosowa. Oni dali nam jakieś świetki, z którymi poszliśmy gdzieś. Już było zorganizowane tam życie i w mieście dali nam dwa konie, bryczkę i wóz. Ja siadłem na wóz, mieliśmy takiego potężnego konia, którego nazwałem Bucefałem. Z tym Bucefałem jechaliśmy.

Na wozie były te dwie beczki mięsa, torby z cukrem i mąką, a pułkownik jechał z tyłu w bryczce. Przejechaliśmy jakieś może 15 km - wpada na nas partyzantka sowiecka: a co wy wieście? Trudno mówić, co my mamy, ale myśmy w międzyczasie gdzieś znaleźli jakiś sklep z tytoniem. Nabraliśmy masę tego tytoniu więc od razu do nich: karaszki, tytoń, tabak. Oni rzucili się na ten tabak, karaszki. Ja powiedziałem kolegom, żeby jechali dalej, a oni pytają, co wy tu robicie. A my mówimy - uciekamy przed Niemcami. Jak to uciekacie przed Niemcami, przecież Niemcy w tą stronę poszli! Ja mówię - no tak, oni przeszli w tę stronę, ale my uciekamy w tę stronę, aby oni nas znowu nie złapali. Nie trwało to długo, zobaczyliśmy jakiś kurz na drodze bo tam te szosy były nie takie jak tutaj. Oni się pochowali do lasu, a my skorzystaliśmy z tego i poszliśmy w kierunku Niemców. Okazało się, że to były niemieckie oddziały rowerowe i jakaś kawaleria. Takie to wynieszane, różne kompanie. Nie zatrzymywali nas, nie pytali nic. Pojechaliśmy do Kosowa Poleskiego, do osady Legionistów. Ci, którzy brali udział w bitwie o Warszawę, dostali tam działki osadnicze. Gdyśmy tam przybyli, nie było tam nic, wszystko zostało rozgrabione, Ale Karol Kamiński świetnie mówił po "tutejszemu", po białorusku i powiedział do kogoś, kto tam był starszy, żeby zwrócili wszystko bydlę, wszystkie kury, gęsi, kaczki itd., bo oni tutaj i tak załatwią tę sprawę z administracją miasta, żeby zrobili to dobrowolnie. W pół dnia oba osiedla wypełniły się zwierzyną wszelkiego rodzaju, która od nich pochodziła. Wróciły meble, mogliśmy spać na jakichś tam łożkach. Wróciło to wszystko, co było z domu zabrane. Nie trwało to jakieś 2-3 dni, z urzędu miasta przyjechał do nas jakiś podchorąży, fohrnrych,

niemiecki, który w administracji miasta pracował. Przedstawił się, powiedział, że on wie o tym że tu jesteśmy, że jest tu pułkownik. Chciał się zorientować. M.in. ja wtedy, który szabo mówiłem po niemiecku, a oni obydwaj Kamińscy pierwszorzędnie, bo z wojska austriackiego, ale zapomnieli słówko kwasny, sauer. Ja im przypomniałem to słówko i nie wiem - dwa, albo trzy razy w nocy odwoziłem w nocy tego podchorążego z powrotem do Stadtverwaltung, do administracji miasta. Wróciłem tym Bucafałem bryczką z powrotem i w międzyczasie po drodze rozmawialiśmy. Po jakimś może tygodniu, dwóch, ja, Dulek i jeszcze jeden kolega (nie pamiętam, jak się nazywał, to był ten, co był w celi dziesiątce i wychodził z pałką) postanowiliśmy pojechać do domu. Reszta została. Wyszliśmy do kolei. Przyszliśmy na kolej i mówimy temu zawiadowcy stacji, że chcemy jechać, kiedy idzie pociąg. A on mówi: zu Fuß, zu Fuß - piechota. A ja mówimy: my z więzienia, z Rosji. Ach, tak... no to dobrze. Akurat leci pociąg z wojskiem. On zatrzymał, myśmy wsiedli, Żołnierze wyglądają, pytają - co takiego? A my mówimy, że właśnie z obozów (sowieckich), to tego. Aaa, to bardzo przyjemnie, chleb dali nam, jakąś tam kawę. Dojchaliśmy do stacji Grańczyce i wsiedliśmy w kolejkę wąskotorową, przejechaliśmy te 12 czy 15 kilometrów do Prużany. Stwierdziłem tam, że nie mam nic do szukania. Dołączył wtedy do mnie nasz czwarty kolega, który nazywał się Ryszard Kister. On też z nami siedział, początkowo nie chciał, ale potem do nas dołączył. Bardzo dzielnie zresztą zachowujący się w więzieniu. Teraz postanowiliśmy pojechać do Warszawy.

Spotkałem na ulicy przypadkowo byłego rzeźnika w Prużanie, niejakiego pana Leśkiewicza. On mi powiedział - słuchaj, ja wiem, gdzie jest twój ojciec, przyjdź do mnie wieczorem,

Więc ja wieczorem przyszedłem do niego, on mi podał adres w Warszawie, dał mi stos dziesięciozłotówek w srebrze i powiedział, że one są ważne w Guberni.

Więc my we dwójkę z tym Ryśkiem Kisterem piechotą doszliśmy do Orańczyc, wsiadliśmy znowu na pociąg wojskowy, powiedzieliśmy, że mamy głajty aż do Warszawy. Żołnierze i tak nic nie wiedzieli, o co chodzi. Przyjechaliśmy wieczorem na stację, graniczną Brześć n. Bugiem. Wszystko oświetlone ze wszystkich stron. My się z Ryśkiem schowaliśmy, że nas nie było widać w tych budkach tam. Oni przeszli, popatrzyli, pojęli ruszyć i myśmy dojechali noc, do Mińska Mazowieckiego. Tam orznęli nas policyjcy kolejarzy, bo zabrali od nas pieniądze na bilety i znikli. Wzięli pieniądze, żeby kupić, bo my bolszewiki, od razu widać było, co my za jedni, no i znikli! Ja jeszcze miałem tych parę groszy srebrnych, przyszedłem tam, prosiłem o dwa bilety do Warszawy. Dali mi to, patrzyli tak trochę zdziwieni, bo jak ojciec mi zawsze mówił potem, śmiałem się jeszcze. Przyjechałem na Dworzec Wschodni, gdzie ojciec pracował no i tak trafiłem od razu w życie konspiracyjne w Warszawie pod okupacją niemiecką.

I tak moje przeżycia pod okupacją sowiecką skończyły się. Dotknęła mnie jeszcze sprawa istnienia partyzantki sowieckiej na terenach wschodnich, bo koledzy za swoje niechlubne czyny zostali wysłani z Warszawy na tereny wschodnie do partyzantki. Był tam między innymi ten, który napisał książkę "Śmierć nie przychodzi kiedy czekam". Została wydana w Polsce.